

W morze

Dzisiaj, dwudziestego drugiego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, była uroczystość pożegnania Daru Młodzieży oraz immatrykulacja studentów. Od trzech dni kierownik DS-u przygotowywał nas do tego, powtarzając – będzie telewizja polska, japońska, minister, rektor, konsul japoński, tłumy ludzi, a wy chodźcie jak jałówki na rżnięcie. Nawet okrzyk powitalny dla rektora przerobiliśmy z „Czołem obywatelu rektorze!” na „Czołem tele-sforze!”. Tego dnia miała się właśnie odbyć prezentacja statku wszelkim szychom

i szyszkom, więc jeszcze dzień wcześniej szorowaliśmy mydlinami i piaskiem cały pokład.

Pobudka była nieco później, bo dopiero o siódmej rano, lecz mimo Świąta Odrodzenia Polski bosman Kadela nam nie odpuścił biegania na gimnastyce. No i oczywiście każdy od rana musiał się usztywnić w mundurze wraz z czapką z daszkiem. Moi rodzice przyjechali o dziewiątej, ale rozmawiałem z nimi krótko, potem tylko z relingu. Ludzi przybywało. Prawie wszyscy praktykanci odwaleni jak mrówki na święto lasu wylegli na burtę reprezentacyjną. Większość rozmawiała o byle czym, aby tylko jeszcze pogadać z rodzicami, znajomymi, ukochanymi.

Obiad zjedliśmy nieco wcześniej, wszyscy elegancko w białych koszulach, zdenerwowanie było ogromne. Stewardzi musieli się uwijać dwa razy szybciej. Aż wreszcie nadeszła to chwila. Wymaszerowaliśmy na keję. W dwuszeregu, na bacność odbyła się przysięga, wręczenie

✧ Pożegnanie z koleżankami:
Sonią i Marleną



indeksów, parę okolicznościowych przemówień, po czym wypuszczono nas jeszcze na godzinę, abyśmy mogli już na dobre pożegnać się z rodziną i znajomymi. Dopiero teraz człowiek sobie uświadomił, że, cholera, to już dziś wypływamy, aż na siedem miesięcy. Do tej pory jakoś do mnie to nie docierało i nie zdawałem sobie sprawy, na jakie obciążenie psychiczne będziemy wystawieni. Uściskałem się z rodzicami do oporu, pstryknęliśmy kilka pamiątkowych zdjęć.

Przyjechało też kilkoro znajomych z ogólniaka, aż pięć dziewczyn. To było ważne dla mnie i przywróciło mi humor. Jakoś nie miałem dotychczas dziewczyny na poważnie i nagle odczułem silną potrzebę, aby mieć kogoś takiego bliskiego, kto by czekał na mnie i pisał listy, oczywiście miłosne.



Gdy byliśmy z powrotem na statku, już bez możliwości zejścia na ląd, a zwłaszcza w momencie odbicia, drgnięcia od kei, poczułem się bardzo dziwnie. To było chyba najgorsze uczucie w całym rejsie. Ojej, to już? Nie, to niemożliwe. Machałem rękami do samego końca, do utraty najbliższych z oczu. Po przejściu na własny silnik zaczęliśmy się kierować do kanału prowadzącego do basenu portowego. Większość żegnających zaległa całe pobrzeże wzdłuż drogi statku. Padła komenda: „Na wanted!”. Wszedłem jak najwyżej pod marsa i rozglądałem się uważnie po różnobarwnym tłumie. Ryk syren zagłuszył wszystko. Ostatnie zdanie, jakie słyszałem, to wołanie kolegi obok: „Mamo, upiecz sernik jak wrócę! Mamo, no co ty, nie płacz...!”.

Po wypłynięciu z portu przy dźwiękach syren oczy mi się zaszkliły. Pocierałem je co chwilę, wstydząc się przed kolegami, nawet jeśli nie było czego. Po długiej chwili milczenia nieśmiało wracaliśmy do codziennego, ale już zmienionego życia marynarskiego.

Pierwsze wrażenie to oddalający się brzeg, ogrom widoku, duże odległości, no i oczywiście kołysanie. Każdy oczekiwał, kiedy go złapie



⌘ Pięknie prezentowaliśmy się
w galowych mundurach

⌘ Uśmiechy na pożegnanie



morska choroba. Nie można było już normalnie przejść po schodach, a na dziobie albo zgina w kolanach, albo wyrzuca w górę. Pierwszego dnia każdy podniecony chodził po pokładzie, aby na samym sobie się przekonać, że na trzeźwo można chodzić jak pijany. Nie można ich było zagonić do kubryków, taką im to przyjemność sprawiało. Aż w końcu Półwysep Helski znikł na dobre i wszyscy pogrążyli się w rozmyślaniach o tym, co ich czeka.



Leżę tak sobie na koi słuchając, chyba już po raz ostatni, listy przebojów Trójki. Coraz bardziej... no, może na razie nie smutno, lecz nieswojo. Moja kocha jest na pięterku, na dole toczą się dyskusje na temat muzyki, o brzmieniu, o wykonawcach, a mnie ściska w dołku, kiedy słyszę *Chcę ci powiedzieć* lub *Kocham cię, kochanie moje* lecące z radia. Czasem tylko któryś z kolegów warknie: „Kurwa, będziecie cicho czy nie”.

Bulaj mam otwarty i tak leżąc, palę sobie skręta z tytoniu. Przez cały czas obserwuję morze, jest to dla mnie nowe i robi wrażenie. Pogoda zmienia się często i zauważalne jest to właśnie na wodzie i w chmurach. Czasem są to piękne chmury pierzaste, nieregularnie rozstrzelone po niebie. Teraz w niesamowitych kolorach, wszystkich odcieniach niebieskiego niewysoko rozciągają się wzdłuż horyzontu. A najcudowniejszym jest zachód słońca, kiedy różnobarwna poświata tonie na skraju widoczności morza. Trochę kołysze. Suniemy na silniku tnąc z lekka fale. Początkowo jakby się przecinało galaretkę, potem podłużna struga odciętej fali zawija się wzdłuż burty. Urszula śpiewa przyjemnie *Dmuchałce, latawce, wiatr...* Przed nią produkowała się Republika z przebojem *Arktyka*.



Czasami przy dobrym położeniu słońca na rozbryzgujących się kropłach wody można zaobserwować krótkotrwałą tęczę. Unoszą się one z wiatrem wyżej, bryzgając na szybę bulaju. Woda ma tyle postaci, że

trudno wszystkie opisać. Niekiedy wygląda jak przewalające się masy ołowiu, zachodząc na siebie. Niekiedy jest filigranowa, jakby wesółą, pokryta bałwankami. Przy lekkim wiatorku marszczy się nieznacznie jak aksamit. A teraz, pod wieczór, jest to rozkołysana toń o długich, przeciągających się falach. Księżyc jest już na swoim stałym miejscu, wysyłając strugę światła po nieregularnym pasie od krańca windokręgu do mojego bulaju. Natomiast naprzeciw dziobu pod lekko zabarwionymi chmurkami, jakby je ktoś lekko maznął pędzlem, nad horyzontem rozciąga się przepiękny widok. Jakby tęcza się wyprostowała i legła wzdłuż ledwo widocznej linii wody. Nie są to barwy ostre, jedynie odcienie żółtego, przez pomarańczowy do czerwoniutkiego i śliwkowofoioletowego. Wzeszły pierwsze gwiazdy. Ściemnia się coraz bardziej. O tym, że płyniemy, świadczy lekkie kołysanie i szum wody.



Żagle są zwinięte, posuwamy się na silniku. Do Lizbony mamy sporo czasu, około szesnastu dni, ponieważ do Le Havre nie chcą nas wpuścić z powodów politycznych. Wachtę morską mamy od dwunastej do szesnastej, muszę zrobić grafik zajęć dla kubryka.

Najbardziej nieznanym jest brak lądu gdzie się nie spojrzysz. Tylko morze, morze i morze. Czasami minie nas jakiś statek, kuter rybacki, gdzieś błysnie światło. Czujemy się jak na pływającej wyspie. Stawialiśmy dzisiaj wszystkie żagle, aby Japończycy mogli sfilmować żaglowiec pod pełnymi żaglami. Ręce mam obolałe od ciągnięcia lin. Na pokład jakoś nie chce mi się wychodzić. Zaraz pójde się myć, a potem spać, aby zacząć nowy dzień już w całkiem innym miejscu kuli ziemskiej.



Jest niedziela, pobudka dopiero o siódmej rano. Gimnastyka przez marsa. Właśnie minęliśmy Arkonę i wpłynęliśmy do Sundu. Wszyscy obsiedli obie burty, by podziwiać przecudne brzegi Danii oraz Szwecji z miniaturowymi

domkami jak z bajki. Zewsząd opływały nas jachciki większe i mniejsze, ich załogi machały do nas przyjaźnie, natomiast my fotografowaliśmy ich namiętnie. Od czasu do czasu mijaliśmy większe skupiska, jakieś zakłady przemysłowe, Kopenhagę z lotniskiem nad samym brzegiem, z którego co rusz startowały ospale samoloty. Żaglóweczki jak moskity, natrętnie i ryzykownie podpływały zbyt blisko albo przecinały nam drogę przed dziobem. O dwunastej przejeżdżaliśmy wachtę morską, zwijanie żagli, mocowanie brasów, klarowanie itp.

Po batalii o podwieczorek ogłoszono alarm do żagli. Zwijanie wszystkich żagli zajęło nam dwadzieścia trzy minuty, a według komendanta musimy zejść do dziesięciu-piętnastu minut. Zrobiło się gorąco. Wydano nam białe dreluchy, w których na tle białej fregaty prezentujemy się świetnie. W kubryku duszno, wręcz łaźnia parowa. Po lewej burcie mija nas prom pasażerski. Przez bulaj widzę go jak na widokówce, zarys ładnie skrojonej sylwetki statku na tle zachodzącego słońca. Zobaczyc i umrzeć.



Dwudziesty siódmy lipca. Już drugi dzień gnębi nas mgła, żadnych widoków, zero orientacji, syrena statkowa nadaje sygnały mgłowe przez cały czas tak głośno i przenikliwie, że nic poza tym nie słychać. Zgłupieć można.

Wykłady z matematyki i podstawy budowy maszyn (PBM) zaczęły się w poniedziałek. Matma w miarę trudna. PBM nie jest zły, ale facet tak zasuwa, niewystarczająco tłumaczy, że nikt nic nie wie: „To zadanie jest proste, tu podstawicie do tego i powinno wam wyjść tyle”, „Ile mamy czasu? Oj, mało”, „To następny przykładzik”. Nawet przerysować nie nadążamy.

Dziś wyjątkowo szybko ubrałem się i wybiegłem na zbiórkę, no i nie wiem za co mnie zapisali. Do repertuaru kar doszły prace dodatkowe w maszynowni albo BW, czyli bez wyjścia w porcie. Była gimnastyka przez sailing, to już nie to samo, co w porcie. Następnie ścielimy łóżka i zasuujemy na śniadanie w tupocie nóg, brzęku kubków i przepychaniu.

Wracamy do kubryków, zamieniamy kubki na beret i biegniemy na apel poranny. Po apelu jest około czterdzieści minut wolnego, kiedy można przejrzeć notatki z wykładów. Wykład zaczyna się o ósmej czterdzieści pięć i są to trzy godziny lekcyjne całkowicie wyczerpane. Przerwy pięciominutowe. O jedenastej dwadzieścia pięć kończą się wykłady i biegniemy na obiad, aby zdążyć na wachtę, która trwa cztery godziny.

Dziś stałem na oku, nic kompletnie nie widać w tej mgle, a przez lornetkę jeszcze gorzej. Nogi wrastają w cztery litery, ale usiąść nie ma gdzie, a zresztą nie wolno. Godzina zleciała mi przy sterze, spore przeżycie. Ster jest bardzo czuły na każdy ruch i trzeba ostrożnie kontrolować. Bardzo się denerwuję, kiedy wskazówka schodzi mi z kursu. Akurat wchodzimy w kanał La Manche, ale nic o tym nie świadczy. Nawet radar to gmatwanina punktów i plam.

Jemy podwieczorek i o szesnastej trzydzieści mamy godzinę wolną do kolacji i godzinę po. Kwadrans do siódmej następny wykład. A o dwudziestej apel. Potem jeszcze alarm do żagli albo jakiś inny. Naprawdę jestem tak zmęczony po całym dniu, że boję się, co to będzie za miesiąc. Spać kładziemy się po dwudziestej trzeciej. Wykończyć się można, to nie żadna majówka na Darze Młodzieży.

Zwłaszcza na wachcie tak mi się chce spać, że ledwo na nogach stoję. Jeszcze dochodzi wachta gospodarcza w kuchni, pentrze, ubikacji albo kara w maszynowni. Jeżeli jeszcze komuś za karę odejmą wyjście w porcie, to niezłe szambo. Przecież jesteśmy pierwszy raz oderwani od rodziny, spokojnego życia, chyba naprawdę nas w domu nie poznają.



Dwudziesty ósmy lipca, czwartek. Noc miałem straszną. Pod wieczór poprzedniego dnia nic nie wskazywało na sztormową pogodę. Nie mogłem zasnąć, a gdy już zasnąłem, zaczęło tak rzucać, że tylko turlałem się po koi na wszystkie strony. Rzucało nami tak, że nie mogłem sobie miejsca znaleźć, gdyż koja pode mną przesuwiała się

to poziomo, to pionowo. Raz przyciskało mnie do niej, a raz czułem się lekki jak piórko.

Gimnastyki nie było, a śniadanie to dopiero cyrk. Trudno przejść po korytarzu. Ściany, podłoga i sufit przyciągają człowieka na swoje strony po kolei. Mesa znajduje się na dziobie, gdzie są największe amplitudy pionowego kołysania. Idzie się do niej jak kłown, trochę przysiadem, trochę z wyskoku, a ściany uderzają ze wszystkich stron. Gorzej było z jedzeniem. Trzeba było się napychać jak najwięcej, gdy dziób się podnosił, bo żołądek wtedy schodzi do kolan. Gdy jest odwrotnie, to lepiej nie mówić. A wszyscy siedzący przy stole kołyszą się miarowo jak na festiwalu w Sopocie.

≈ Podczas przechyłów
trudno złapać pion



Obiad nie skupił już całości. Co chwila ktoś wybiegał, zupa wylewała się na stół, kisielu nie można było do kubka nalać. Steward z drugim daniem raz się czał, raz brawurowo podskakiwał, a zawartość talerzy tworzyła na podłodze ślizgawkę. Sporo śmiechu wzbudził fakt „pomalowania” jeszcze niestrawionym obiadem munduru oficera nieopatrznie stojącego przy wejściu do mesy na drodze wybiegającego, cierpiącego studenta.

Mnie o dziwo nic nie ruszało. No nie powiem, abym czuł się wyborowo, ale ani razu nie oddałem hołdu Neptunowi. A już skoro świt po śniadaniu widoczne były schody „nie do przejścia”, ubikacje „nie do użytku”, a do burty „podchodzili czwórkami”.

Najciekawiej wyglądały wykłady. Stan obecnych był ruchomy. Nie było chwili, aby ktoś niepewnym krokiem nie opuścił sali, mieniając się w barwach od białej do zielonej. Ale po czasie wracał uśmiechnięty, aby za chwilę znowu powtórzyć ten manewr.

Długopis szukał zeszytu po całej ławce. A co dopiero miał powiedzieć wykładowca. Biedaczek nie mógł ustać przy tablicy, parę razy rzuciło nim niezłe, to o tablicę, to o biurko. Krzyczał: „Jakby coś, to mnie trzymajcie!”.

Po całym statku porozciągane były liny sztormowe i podczas brasowania, gdy wyciągaliśmy linę w biegu, połowa z nas wyłożyła się jeden na drugiego.



Otworzyli kantinę. Do mnie jako kubrykowego należało załatwienie tej sprawy, zrobienie listy zakupów dla każdego. A było tego sporo. Wszedłem do kubryku z worem marynarskim wypełnionym po brzegi jak święty Mikołaj. Obstąpiono mnie tak szczelnie, że nie było czym oddychać. Oprócz koszul, majtek, kąpielówek, skarpet, papierosów, żyłek, wszelkich perfum, zeszytów itp. były tam najbardziej oczekiwane słodycze w wyborze i jakości niespotykanej na rynku w kraju.

Cały dzień szeleściły papierki i słychać było mlaskanie. Każdy wcinał co miał, od ptasiego mleczka, przez czekoladę, do likworków.

Wyświetlono nam film, *Parszywa dwunastka*, a jakże!, na dwóch seansach i nawet pozwolono nam spokojnie obejrzeć bez alarmów. Projekcja odbywała się w mesie dziobowej. Przeglądy porządku w kubrykach są co niedzielę. Obchodzi sam komendant, chief i paru oficerów. Wyrwano mnie z wykładów, abym mógł stawić czoło komendantowi, meldując mu, że kubryk jest gotowy do przeglądu. A że jest to jeden z najmniejszych kubryków, to trochę bałaganu było, bo nie ma gdzie rzeczy poupychać, tu i ówdzie jakieś skarpetki się suszą, ręczniki na ręcznikach porozwieszane na linkach, buty się wszędzie walają. No, ale trudno, napociłem się trochę, kiedy wypytywał mnie niemal o wszystko. A chief wszędzie skubany zaglądał, a na koniec rzucił bez oglądania, że kurz z pokryw na bulaje jest niestarty, czego nie mógł widzieć, bo pokrywy były uniesione.

Dobrze już jest jak chociaż kary nie dostajemy. Ale od komendanta oberwało mi się przy innej okazji. Jako „młodszy nawigacyjny” urzędowałem w sterowni, mimo że za głupi jestem, aby obsługiwać radary, mapy, satelity i inne bajery. Akurat nikogo nie było, niewiele do końca zostało, więc siadłem sobie na jedynym krześle wygodnie, zdjąłem pas i czekałem na koniec wachty. Kiedy wszedł komendant, zerwałem się natychmiast, ale było już za późno, zbeształ mnie równo. Nawet żadnemu oficerowi nie wolno usiąść podczas wachty na mostku czy przy sterze, a ja siadam sobie i to na kapitańskim krześle.

Zaliczyłem też maszynownię, bo – jak inne służby – przechodzi rotacyjnie na każdego. Hałas, huk, że bez nauszników nie można się obejść. Zaskoczyła mnie nowoczesność i czystość, wprawdzie ja sam ją czyściłem, ale moje wyobrażenie to papranie się w olejach i smarach. Co chwila odzywa się jakiś sygnał albo alarm i wiadomo, co się dzieje i jak silnik pracuje.

Pościel wymieniają nam co dwa tygodnie razem z ręcznikami. Trzeba wszystko wynosić na pokład, trzepać, w kubryku myć ściany,

bulaje, a wszędzie ciasnota i bałagan. Za każdą powłóczkę czy ręcznik odpowiadam osobiście.



Dzisiaj, drugiego sierpnia, dość mocno przywiało, mamy pomyślne wiatry. Wprawdzie już od dwóch dni płyniemy na żaglach, ale dziś postawiliśmy wszystkie. Prędkość dochodzi do czternastu węzłów, natomiast takich przechyłów to dotychczas nie było. Musiałem założyć na koi pas ochronny, aby z niej nie spaść. Zazwyczaj kładziemy się na prawą burtę, a kąt przechyłu dochodzi do trzydziestu stopni. Słońce przygrzewa, więc można się poopalać, ale kiedy się położyłem na pokładzie, to za pierwszym lepszym przechyłem zjechałem na spodniach do burty. Śmieszny jest to widok, gdy ludzie kleją się do ścian, a idą jakby mieli po pięćdziesiąt kilogramów ołowiu w jednej kieszeni, tacy są przechyleni. Trudno jest nawet do drzwi trafić. Wszystko, co ruchome, leci na dół. Ktoś zostawił kubek z kompotem na stole, to musiał go zaraz zbierać z podłogi. Od czasu do czasu słychać łomot i brzęk różnorodnych nieumocowanych przedmiotów.

Wczoraj wydano rozporządzenie oddania do depozytu całego posiadanego alkoholu ku ubolewaniu posiadających owe zapasy na handel. Ale jakoś niewiele się pokwapiło odnieść zapasy do ochmistrza, tylko późnym wieczorem słychać było ciche szepty, brzęk szkła, potem przytłumione rozmowy i śmiechy. Aż w końcu przeszli na piosenki przy akompaniamencie gitary w mesie dziobowej, gdyż o późnych godzinach załoga stała już tam nie zagłąda. Oni zamykają się w swojej świetlicy i rzną w brydża przy piwie.



Właśnie zerwano nas do alarmu do żagli. Podczas dnia fale były dość spore i przy dużym przechyśle można zjechać prosto do wody. Na wykładach wszyscy są pochyleni w jedną stronę, a gdy odłoży się długopis, choć na chwilę, to natychmiast zjeżdża po ławce na drugi koniec. Wszyscy

z aparatami biegali, gdyż fregata na pełnych żaglach kładąca się ostro na burtę, prując fale to niecodzienny widok. Na wachcie morskiej siedziałem na wantach i naprawiałem wyblinkki. Ręce mam od tego zniszczone, zresztą także od ciągnięcia lin i chodzenia po wantach. Siedzimy tak sobie trzydzieści metrów na foku we czterech, jeden pod drugim, naprawiamy rozmawiając, podśpiewując lub pogwizdując.

Ale wracając do alarmu, to okazało się, że trzeba zwinąć część żagli i przebrasować reje, bo wiatr się wzmaga. Zaczęło tak kołysać znowu, że można się przewrócić z poplątania nóg. Gdy schodziłem po schodach, to statek uniósł się tak gwałtownie, że po prostu zleciałem na dół, tak mocno kolana mi się ugięły. Oczywiście jak cała załoga przy żaglach, bosmani wydzierają się na całego, nie ma tego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło, po prostu jakby się nie zrobiło, zawsze jest źle.

Żaglowiec zmienił hals, fala się wzmocniła i co jakiś czas przez pokład przechodził prysznic rozbryzgującej się piany wodnej. I nagle słychać głośny trzask – to żagiel się rozdarł, dolny marsel foka. Klnięcie, krzyki i biegiem do zwijania.

Patrząc na wodę, czasem przerażenie ogarnia. Fala piętrzy się, piętrzy, wzrasta, staje pionowo, a po obu stronach ogromne niecki o wysokości kilku metrów, w końcu rozbija się o burtę lub okręt, wchodzi lekko na fale, opadając potem gwałtownie. Morze pokryte jest wianuszkami i grzebieniami piany morskiej. Podłoga w mesie klei się od rozlanej herbaty, woda z umywalki się wylewa, a mydło to chyba trzeba by w zębach trzymać. Najgorzej jest wytrwać na dłuższym posiedzeniu na ustępie, bo silne kołysanie co chwila „z siodła wysadza”. Przy jedzeniu ktoś zwrócił uwagę, żeby jedzenie dokładnie przeżuwać, bo jak będzie wracać, to zęby powyrywa.

Bosman wydziera trepa: „Trzymać się, nie udawać bohaterów, jeszcze ktoś sobie zęby o reling powybijają”, „Co? Nie masz się czego złapać? To złap kolegę za trąbę i idziecie jak słonie!”. To jeden z czterech bosmanów, Benek, o owalnej twarzy, z lekką czuprynką, chodzi zawsze

w trepach, w śniadym drelichu, ma już swoje lata. Jego głos i powie-
dzonka są bardzo charakterystyczne. „Co, nie wiesz gdzie foka szot? Co
to w te pędy na lewą”, „No jak ciągniesz? Co toto, ooooo cie cholera,
nieuki!”, „Jak to wiążesz, ofermo, gdzieś ty się uchowal? Do chuja nie
jesteście podobni...”. Dość śmieszny jest też pierwszy oficer, przezwany
przez swój wygląd Żwirkiem, zawsze zwraca się: „Zobacz no, panie
kolego, ile ster leży?” albo „No ojcowie, razem tę linę!”.

✎ Bosman Benek

